

A. Żuwiński Monolog

ARTUR ZAWADZKI

MONOLOG.



WARSZAWA.

Nakładem redakcji „Młuchy“ Elektoralna 8.


<http://1891.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

MONOLOGI.



MONOLOG

Artur Zawadzki.




M O N O L O G I

WYGLĄSZANE NA KONCERTACH.



Cena 25 kop.



WARSZAWA

Nakładem redakcji „Młuchy“ Elektoralna 8.

Друкарня „Купецка“.

МОНОЛОГ

WYKŁADY NA KONGRESIE

Доволено Цензурою. Варшава 23 Іюня 1890 г.

Цена 25 коп.



5366

WARSZAWA

Wydawnictwo „Kupiecka“ Elekoralna 8

Drukarnia „Kupiecka“, Warszawa, Elekoralna 8

<http://rcin.org.pl>

W S T Ę P.



Ulegając wielokrotnym życzeniom moich Szanownych słuchaczy, wydaję niniejszy zbiorek monologów charakterystycznych, jako najprzystępniejszy dla Amatorów monologistów, w nadziei, że uzyskawszy poparcie i rozpowszechnienie, postaram się w przyszłości ułożyć nową serję charakterystycznych monologów.

Autor.

W S T E P

Wszystkie kolekcje w tym zakresie
zobowiązane są do oddania
do Biblioteki Narodowej, w której
zostaną one przechowywane
i udostępniane dla potrzeb
nauki i kultury. Wszelkie
inne kolekcje w tym zakresie
zostają przekazane do
Biblioteki Uniwersyteckiej
w Warszawie.

Chutor



PROSZĘ O SEKRET.

Tłomaczył

Ar. Zawadzki.

(Monolog z repertuaru Coquelina.)

(Wchodzi szybko na scenę, ogląda się zastraszony, i po chwili mówi)

A to historja! zdarzenie jakich mało *(parska tłumionym śmiechem)* Gdy państwu opowiem, to śmiać się będziecie... *(orjentuje się)*. No! ale w rzeczywistości jakież ja mam prawo podobne rzeczy rozpowiadać, kto mnie do tego upoważnił, ależ nie, nie mam do tego najmniejszego prawa, przepraszam państwa! *(chce wyjść — wraca się)* No, wreszcie prawo można obejść, można... bo na świecie wszystko można, ale pod warunkiem, że to co powiem, pozostanie między nami... żebyście przypadkiem nie rozgadali tego komu

zgoda? Owóż ta historia dotyczy pewnej damy, tak w ogóle, ale powiedzmy lepiej prosto — pewnej kobietki... będzie w wieku... latek... około... No zgadnijcie państwo... No... No tak między 20-ma a 50-ma. Hm — wszystkiego nie mogę powiedzieć — Mieszka... (*jakby słyszał „na prowincji“*) Aa! właśnie, że nie na prowincji, tylko w Warszawie mieszka (*zamyka ręką usta*) Figlarz z pana, wyciągnąłeś mnie pan na słowo, ale to nic, bo nikt nie wie na jakiej ulicy. — O! tego to już nie mogę powiedzieć. — Jeszcze gdyby tu byli sami mężczyźni — no! zryzykowałbym, bo w podobnych kwestjach mężczyzna nie jest bardzo domyślny, jemu jak to mówią; łopata kładź kwestją miłosną w głowę czy w serce, bo nie wiem gdzie się ona mieści, to i tak z obydwóch tych miejsc wywietrzeje, tak przynajmniej wszystkie panie utrzymują... Ale z paniami, fiu! to inna sprawa, z jednej litery odgadnie całą tajemnicę, a zwłaszcza gdy ona dotyczy *kochanej* przyjaciółki. Cóż zrobić przecież nie mogę ztąd pań wyprosić, bo by się obraziły. O! już widzę piorunujące spojrzenie — ależ zostańcie panie, przepraszam, no, już na zgodę powiem pierwszą literę ulicy, „P“. Proszę zgadnijcie panie, Piwna,

Piekarska, Powiśle, Podwale, Pawia, no dosyć bo gotowe panie utrafić, a ja już i tak za dużo powiedziałem, prawda? O! będę ostrożniejszym. — Dama ta należy... Myślicie państwo, że powiem, należy do wyższego towarzystwa. — Ja wiem, państwo wolelibyście, byłoby więcej interesujące. O! bądźcie spokojni, nic wam o tem nie powiem, raz dla tego że ja... sam nic nie wiem, a powtóre choćbym i wiedział, to niepowiedziałbym (*ogląda się*) bo obecnie trzeba być nadzwyczaj ostrożnym — slyszeliście państwo o kalumnji, potwarzy o oczernianiu i t. p. no to wiecie, sza!.. (*ogląda się i chrząka, jakby chciał słowa zatuszować*). A więc kontynuujmy dalej... Ale pamiętajcie żeście obiecali wszystko trzymać w tajemnicy. — No! no! ja nie wątpię ani na chwilę w dotrzymanie, stanowczość, świętość waszego słowa, ale tak na wszelki przypadek przypominam. A co najoryginalniejsze w mojej historii, że mi o tem pisał w liście jeden z moich przyjaciół, list pewnie mam przy sobie (*szuka po kieszeniach*) o! tutaj jest (*pokazuje na kieszeń*). Ja go nie wyjmę, bo gotów go kto jeszcze wyrwać i skandal. Pierwsze kilka wierszy zakomunikują państwu bo je umiem na pamięć (*tryumfująco*). „Kochany

przyjacielu! Nie odpowiadałem ci na twój list dla tego, że byłem zajęty ważnemi interesami“. A dalej nadzwyczaj zajmujące. No przyznajcie państwo, że te kilka zacytowanych wierszy są nadzwyczaj charakterystyczne. — Nie każdy w ten sposób list zaczyna, a tutaj od pierwszych liter widać człowieka rozumu. — No teraz to już łatwo możecie się państwo domyśleć co się stało, owa dama powiada do mego przyjaciela... Co właściwie ona powiedziała, tego nie mogę wyjawić, tylko on jej odpowiedział głębokiem milczeniem. — O widzicie! No, zrozumiecie wszystko, gdy powiem, że owa dama rękami i nogami a zwłaszcza nogami, bo w tej chwili uciekła (*pauza*). Czy ja nie za wiele powiedziałem? (*orientuje się*) Wreszcie nikt nie wie w którą stronę uciekła, proszę wybierać jaki się podoba kierunek, wschód, zachód, południe, północ — żelazne drogi wszędzie prowadzą, za stosowną opłatą. — On, gdy się dowiedział o tem.. naturalnie... zaraz, no — bo to jest wypadek... co byście państwo zrobili na jego miejscu. Powiedzielibyście „O poczekaj, duszko, to ci tak na sucho nie ujdzie.“ Wystawcie sobie, on tak samo powiedział, a co byście zrobili? „nic,“ bo on to samo

zrobił. Aha! chcecie państwo wiedzieć co się zrobiło z tym panem który znalazł ów list dla wręczenia go osobie trzeciej — otóż nim znalazł ów list, był to człowiek spokojny, zacny, prawego charakteru, miał wprowadzić żonę, ale on sobie z tego nie robił wyrzutów sumienia, trzeba niezszczęścia, że znajduje ów list i ten wypadek tak wpłynął na jego charakter, że podobno do dzisiaj w niczem się nie zmienił, — ale zdaje się że ja państwu nic nie mówiłem o owym liście, to i lepiej, bobyście się jeszcze czego domyślili. A jednak wiecie państwo, to jest tego, a nawet bardzo tego, no ale cóż robić. Co się na świecie nie dzieje? x początku wszyscy się dziwią, sądzą, rozbie-
rają, Z potem każdy ręką machnie i powie, cóż robić, trudna rada, bo wreszcie sami państwo wie-
cie, że wszystko prawie zależy od okoliczności. *(orjentuje się)*. Ale, panowie i panie, ja wam to wszystko powiedziałem dla tego jedynie, żeście mi obiecali zachować to w sekrecie. I uprzedzam państwa, że gdybym się dowiedział, żeście sekretu nie zachowali i zechcieliście rozgadać wszystko, to między nami skończone. Nigdybym wam nic nie powiedział. *(wybiega)*

probie. Alas chciecie państwo wiedzieć co się sta-
ło z tym panem który znalazł ów list dla wra-
żenia go osobie trzeci — otóż nim znalazł ów
list był to człowiek spokojny, zamy, prawego
charakteru, miał wyprawdzie żonę, ale on sobie
z tego nie robił wyrzów sumienia, trzeba nie-
szczęśliwie że znajduje ów list i ten wypadek tak
wpłynął na jego charakter, że podobno do dnia
dnia w niczem się nie zmienił — ale zdaje się że
za państwa nie nie mówim o owym liście, to
nie lepiej, bodyscie się jeszcze czego domyślił. A jed-
nak wiecie państwo, to jest tegoż z narwet bardzo
tego, ano nie coś robił. Co się na świecie nie-
działo z powstaniem wszyscy się dziwią, sądzą, robie-
nię, a potem każdy rękę machnie i powie, coś
robić, trudno tam, że wreszcie sami państwo wie-
cie, że wszystko prawie należy do okoliczności
określenia. Ale panowie i panie, ja wam to
wszystko powiedziałem dla tego jedynie, żebym
obiecany zachować to w sekretcie. I utrzedam pan-
stwu, że gdybym się dowiedział, że coś sekretu nie
zachował i zachciłbyś rozgadać wszystko, to
niebys miał skłonzone. Niegdyby wam nie nie
powiedział. (Wzdech)

Premiera w Teatrze Rozmaitości.

Monolog z francuskiego.

przerobił

Artur Zawadzki.

(Młody człowiek, w charakterze aktora, we fraku wchodzi na scenę).

Szanowna publiczności, naprzód prosić muszę o łaskawe pobłażanie, gdyż wziąłem na siebie obowiązek nie łatwy do spełnienia, powodowało mną, źle pan sądzi, nie chęć popisu, zarozumiałość aktorska, o nie! ale, autorowi w żaden sposób oprzeć się nie mogłem, tak prosił, błagał, że uległem i oto staję przed wami w zamiarze odegrania jego komedji. — Jeśli komedja się podobą, naturalnie będzie to zasługa mego talentu, gdy zrobi fiasco, autor będzie winien — ja nic nie ryzykuję. Szykujcie państwo rączki i ręce do

klaskania, ja od siebie nie śmiałbym o coś podobnego prosić, ale leży to w interesie szanownej publiczności, gdyż oklaski sen spędzają z powiek. A więc bez zbytecznych wstępów zaczynam w charakterze afiszera, anonsując co mam grać. Komedia w 3-ach aktach pod tytułem: „Dobranoc.“ — Pani oczki przymruża? o widzę, że tytuł źle oddziaływa, trzeba go zmienić — nazwijmy ją „Dzień dobry“ zrobiło się weselej, a więc stosowny czas do zaczęcia: — *(podchodzi w głąb i dzwoni)* Akt pierwszy. — Rzecz dzieje się w bogatym domu; z tego umeblowania trudno sądzić o bogactwie, lecz ręczę, że w domu jest lokaj z miotelką, a nawet po kątach są poustawiane kreszuarki. — Scena pierwsza. — Lokaj wchodzi niosąc na tacy herbatę, w progu spotyka się z panem domu, który zapytuje: „Która godzina?“ dziesiąta. — To bardzo późno! bierze za kapelusz i wychodzi.—Lokaj spoglądając za nim kiwa głową, mówiąc: O! coś pan jest nie w sosie, już trzeci dzień wychodzi bez śniadania, coś tu się tego.. artystyczna pauza — po której lokaj herbatą pańską wypija. — Scena druga — pod rękę wchodzi 2 młode pary. — Jedna z dam blondynka, druga brunetka — mężczyźni

przeciwnie — jeden brunet, drugi zaś blondyn. Brunetka zakochana po uszy w blondynie a w niej jak na złość kocha się brunet. Blondynka „Ah!“ westchnienia do bruneta szle, w chwili gdy jasny blondyn pożera ją oczami. Rozumiecie państwo na jaką tragedję tu zakrawa? — Nie zgadujecie? Nie? to jedźmy dalej. — Przyjaciel brunet z przyjacielem blondynem, prowadzą zaciętą rozmowę, jeden mówi ciągle, drugi milczy uparcie, blondyn wzdycha basem, a brunet tenorem, dyskantem zaś damy, wzdychają wszyscy jak z nut, spektator słyszy tylko to: „Ah“ to „Oh“ to „O nieba“ to „O Boże“ to „Ty moja bogini“ „Życie moje drogie!“ to „Nienawidzę cię“ to długi monolog, to znów nudny djałog, wkońcu autorowi zabrakło tematu do monologowania i djałogowania, kazał im śpiewać kwartet — Zaczyna brunetka: „Ja pójdę stąd“ blondyn śpiewa: „Ja pójdę stąd“ — blondynka: „Ja pójdę stąd“ brunet kwiczy: „Ja pójdę stąd“ A wszyscy razem pozostają. „My pójdziemy stąd.“ Publika zatyka uszy i w duchu myśli, oby jak najprędzej poszli. Niektórzy z lekka poziewają autor w sam czas kończy akt i kurtyna idzie na dół i tak się skończył pierwszy akt szczęśliwie,

nie bardzo wesoło no i nie smutno, ni to ni owo, jak to mówią, *(wskazując na muzykę)* dotąd tylko muzykanci zasnęli.

Antrakt 5 minut, proszę bardzo nie krępujcie się państwo wcale, przejdźcie się do bufetu, tam możecie usłyszeć rozmaite sądy o sztuce i swoje zdanie wyjawić otwarcie. — O! słyszę już pewnego pana. „Tak, to dosyć dobre, tylko, że to reżyserja przepuściła.“ — „Doskonale, wesołe a co najważniejsze pikantne“ jakiś w monoklu opowiada. W tej chwili, nachyla się do męża matka uśmiechniętych trzech córek „Co za niemoralność, blondynka kocha bruneta, gdy blon... ah! -- „Wiwat, w rączki“! wychyla pełny kieliszek młody reporter — ależ ta sztuka mojem... proszę mi dać kawałek śledzia — zdaniem to nonsens, absurd, wiem naprzód czem się skończy. — Napewno ta wyjdzie za tego, a tamta zostanie z tym drugim“. — A tu w kącie poważny krytyk wyjawia swoje zdanie. — „Czegoś tu brakuje, widzi pan... idzie słabo... cała kompilacja akcji sądzić... to cały zawiązek... a zresztą fabuła... to nie jest duch... prądu cywilizacji.. a zresztą nigdy naprzód nie sądzę, zobaczymy dalej... Słychać dzwonek, wszyscy biegną na miejsca,

wszyscy są na miejscach? więc możemy zacząć (*dzwoni*). — Akt drugi. — Sala rycerska, w głębi widać ogród i spacerujących wielu rycerzy z damami zeszłego stulecia (złośliwi utrzymują, że data urodzenia spacerujących dam jest także zeszłego stulecia). Między nimi widać nasze dwie pary spacerujące, panie piją lemoniadę, panowie wino sceniczne (aby się nie upili) tu grają w karty, tam w krokieta, wchodzą i wychodzą nie wiedząc na co i dla czego. Paradyz już wie wszystko. — Galerja już się domyśla, tylko aktorzy są ciemni i nic nie rozumieją. W tem autor przychodzi z pomocą, sytuacja jasna, tłum się rozchodzi, zmierzch, wpada lokaj zatrwożony, jak grom wyrzuca słowa, które wszystkich elektryzują! „Idzie“. — Trzeba się schować — pod stół prędzej, pod stół? — nigdy, „mogę wejść do tamtego pokoju? Tam niemożna! jest mój mąż, pistolety ma przy sobie. A więc tutaj? Tam także nie można, tam jest brat męża, uciekaj gdzieindziej a prędzej, bo zginiemy! Więc pozostaje mi tylko okno. O! nie pozwolę na to, byś bez spadochrona wyskakiwał z drugiego piętra! — A więc gdzie w końcu? ah, co za położenie! On taki zazdrosny! — Idzie! idzie! prędzej! gdzie?

gdzie? Tu za wieszadło, stój pan spokojnie. — Na taki koncept autor mógł się wcześniej zdobyć, ale nie było by efektu bo i zazdrość i rozpacz, i bojaźń, bieganina, załamywania rąk i t. p. Autor takiej gratki nie może opuścić. — Wchodzi mąż, ponuro rozgląda się po pokoju, wieszadło traci równowagę i pada na ziemię, wznosi się tuman kurzu, pierwsze wrażenie i kurz opadł, wszyscy spojrzeli po sobie, pauza artystyczna, poczem drżenie rąk i nóg. — Ona zawstydzona oczy w ziemię spuszcza, mąż ciężko odдыcha powietrza nabierając — kochanek z niecierpliwością oczekuje końca, za kulisami autor obserwuje wrażenie publiczności. Mąż pierwszy przerywa milczenie. — Co to? proszę panią wytłomaczyć mi to zjawisko? Milczysz! O! przewrotna żmijo. — Posłuchaj mnie! Precz! Nie podchodź do mnie przewrotne stworzenie, oddech twój zatruwa powietrze, przebiegła córko Ewy. O podła hyeno, piekielna syreno! lisico bez ogona! lecz z tobą się później rozprawię. A ty, panie — stoisz bez słów, proszę bliżej, panie z miedzianem czołem, zafryzowany nakształt barana, wybieraj broń, — pismo święte powiada „Kochaj bliźniego twego jak... Strzelaj. Jeden z nas musi tu zostać!

—To zostań pan, ja pójdę, bo mam ważny interes.

—I ten idiota ma być moim rywalem, kijem wybić go każę. Widok byłby nieładny, więc zmiarkowawszy to, kurtyna dyskretnie się zapuszcza.

W antrakcie daje się spostrzedz w bufecie wielkie ożywienie, różnorodne sądy. „Teraz to jasne jaki będzie koniec, sądzi bywalec teatralny wpychając całą kanapkę w usta. Ona wróci się do... *(udaje jakby miał zapakowane usta)*, tego znie-nawidzi i połączy się z tamtym, przecież to jasne, panowie, wszystkie komedje tak się kończą. Facet w monoklu przechyla się za łoże.“ Jakże się panu podobała nowa komedja, doskonała, nieprawda? *(wręczając jednocześnie pudełko cukierków)* „Doskonała, szczególnie w tem miejscu jak wieszadło upadło, to się tak śmiałam“. Na paradyzie student wdzięczy się do panny, która za kopiejkę daje mu zimną wodę z gorącym uśmiechem. Ale wic panna, jak ci dziś aktorzy grają niech ich morowe ogarnie, tylko że ci ten mąż zalazł niepotrzebnie, narobił takiej chryi, galimatjasu, że się to wszystko jeszcze u morowego gotowo skończyć. Orkiestra kończy już ostatniego mazura, pan z hiszpanką zapukał smyczkiem w skrzypce i zaczyna się akt

trzeci. Starym zwyczajem kurtyna idzie do góry, na scenie dama w średnim wieku i młodzieniec modnie ubrany. Nasze dwie pary tańczą, śpiewają, prowadzą konwersację, lecz z wszystkiego widać, że pragną jak najszybszego połączenia się z sobą, ale to jeszcze nie pora, tak przynajmniej autor twierdzi; gdyby to autorowie wiedzieli jak zakochanym pilno być połączonymi, nie zwlekał by pewnie, ale on na wszystkie argumenta ma jedną odpowiedź „Czekajmy na bogatego wujaszka z Ameryki (tacy wujaszkwowie są tylko w Ameryce) on byłby już tutaj gdyby nie żałował węgla na okręcie, ale wujaszek chociaż bogaty — skąpy. Nareszcie lokaj zadyszany wpada i anonsuje upragnionego wujaszka, wszyscy zadowoleni biegną na spotkanie — zjawia się nareszcie wujaszek i w tej chwili bierze się za kieszeń, wiele wam potrzeba? gdyż jest człowiekiem praktycznym, wychowany w świecie, którego dewizą jest: „Czas to pieniądz“, nie może więc obydwóch tracić, traci pieniądze, obie pary radują się, przeplatając! mój drogi, moja ukochana, radość ogólna: Wchodzi lokaj zapowiada: „Obiad na stole.“ Kurtyna zapada, publiczność bije bravo! *(wychodzi i wraca wnosząc pęk gazet).*

Otóż i recenzje; u nas po amerykańsku, jesteś wieczorem na przedstawieniu, prześpisz się i rano masz już sprawozdanie — państwo już się przespałicie? a więc i sprawozdanie gotowe. Zaczniemy od Kurjera Warszawskiego. „Premjera wczorajsza, dana w Teatrze różności, zajmuje bez zaprzeczenia pierwsze miejsce w naszej literaturze, autor jej obdarzony jest niepospolitym talentem tryskającym obficie z każdego zdania z każdej myśli, tak nowej i oryginalnej a prostej, nacechowanej prawdziwym geniuszem. Do tego arcydzieła artyści nasi, niedorośli, to też nieudolność ich razila na każdym kroku a my w miejsce oceny, zmuszeni jesteśmy wyrzec słowami pisma świętego „Boże, przebacz im, bo nie wiedzą co czynią.

Zobaczmy co pisze Kurjer Codzienny. „Bawić się w rozbiór krytyczny wczorajszej premiery, byłoby daremną stratą czasu, jestto plód poroniony początkującego autora, bez myśli przewodniej, zlepek luźnych bezsensowych zdań — dziwimy się tylko reżyserji, iż podobną nicość mogła wprowadzić na repertuar. Utalentowani nasi artyści starali się ze zwykłą sobie sumiennością podnieść szlachetną grą wartość powierzonego im zadania,

lecz zamiary ich rozbiły się co chwila o mierność dzieła. (*Gazeta Polska*) Dziwnie obojętną jest nasza publiczność. Gdzie szukać przyczyny tej apatii, tego uśpienia którego zbudzić nie są w stanie nawet takie nowe arcydzieła jak wczorajsza premjera, odegrana po mistrzowsku, niestety przy pustym audytorjum, lecz garstka publiczności (byli to prawdziwi znawcy) która się znajdowała w teatrze, śmiało może sobie powiedzieć, iż była na uczcie artystycznej. (*Słowo*) Już to publiczność nasza jest jedyną pod słońcem, uznana przez wszystkich cudzoziemców i przezwana przez nich łakomą na nowość. Szlachetne jest to łakomstwo, jeżeli się objawia dla rodzinnej literatury scenicznej, która niestety w wczorajszej premierze zawiodła szlachetny popęd. Publiczność szczelnie zapełniła teatr, lecz zaraz po pierwszym akcie doznała rozczarowania, słaba budowa sztuki jak i myśli przewodniej wzbudziła niesmak w naszej ogólnie wykształconej publiczności.

Jak widzicie państwo, że tu wasze łaskawe zdanie jedynie rozstrzygnąć może i wydać stanowczy wyrok, którego jak autor tak i artyści z niecierpliwością oczekują. (*wybiega*).

TENOR KWICZOŁ.

czyli

DRUGI MIERZWIŃSKI.

Monolog Artura Zawadzkiego.

(Wchodzi na scenę z nutami i zaczyna śpiewać.)

Szumią jodły na gór szczycie, szumią sobie w dal
a młodemu smutne życie gdy ma w sercu żal
z wszystkich ludzi do nikogo jeno do ciebie
niebogo. Oj! dziewczyno, Oj! Halino, dziewczyno
moja“ i t. d. *(robi koguta, rozgląda się po publiczności)*
Nikt nie śmie nawet brawem przerwać, tak się
wprowadza publikę w zdumienie. Eh! dziś to
jeszcze nic, bo ja jestem trochę zachrypnięty, ale
jak ja w domu śpiewam! to jest całe moje nie-
szczęście, że gdybym ja mógł raz tak zaśpiewać
na scenie jak śpiewam w domu to stanowczo

zakasowałbym mego kolegę Mierzwińskiego, bo cóż jest mój kolega Mierzwiński? Ja tam obgadzać nie lubię, tak mówiąc między nami, to on dla tego ma takie powodzenie, że się nazywa Mierzwiński, niechby on się tak nazywał jak ja, Eugeniusz Kwiczol, zobaczylibyśmy czyby zbierał takie laury, cała różnica leży w nazwisku, chociaż i moje nazwisko jest tenorowe, jest sławne, tylko publika się więcej przyzwyczaiła do nazwiska Mierzwińskiego. A to jest niesprawiedliwość, bo na przykład, gdy Mierzwiński mój kolega występuje, to publiczność nie może się nasycić jego głosem za swoje pieniądze, gdy ja śpiewam to pierwszym tonie publika w zachwycie krzyczy „co to za głos, co to za głos.“ Krytyka do dziś dnia w niezgodzie ze sobą, gdyż nie mogą się zdecydować, gdzie mój głos bardziej nadaje się do dramatu czy opery baletu lub komedji, ja mam bardzo wysokie tony sięgające niemal na 4-te piętro. Nie dawno byłem w pewnem towarzystwie, w którym mnie jeszcze nie znali i dla tego prosili żeby im zaśpiewać cokolwiek, ja się nigdy długo prosić nie dam zwłaszcza gdy się znajdują tacy którzy chcą słuchać. Zaśpiewałem więc znaną arję. „Marto! Marto! tyś

zdradziła, niechaj nieba ci przebaczą“ to cała publika tak się przejęła, rozentuzjasmowała, iż zaczęli śpiewać: „Niechaj nieba mu przebaczą“ i ze wzruszenia wszyscy wyszli z sali. Wszystkie duety, tercety, kwartety śpiewam sam, sam wszystkimi głosami. W jednym z miast, gdy śpiewałem na koncercie arję z Fausta, to publiczność była w takim zachwycie rozdrażnienia, że nie pozwolili mi skończyć, tylko jednogłośnie powtarzali, że takiego śpiewu jak żyją nie słyszeli. Jeden z wielkich znawców powiedział mi bez komplementu, że gdy biorę wysokie tony, to publiczność w zdumieniu spogląda po sobie zapytując się czy to śpiew, czy też jakie nieszczęście mi się przytrafiło. A trzeba państwu wiedzieć, że ja jestem samouczkiem, u żadnych włoskich signorów nie uczyłem się, własną pracą doszedłem do tak znakomitych rezultatów, no i talent mi dużo pomógł, inni naprzykład tyle czasu potrzebują do nauki czytania nut, ja wziąłem do ręki nuty pierwszy raz i od razu czytałem, bo to jest takie proste, czytają się tak, jak są drukowane, jest grubo drukowane, śpiewa się grubo, cienko — śpiewaj cienko, jak jest cienki ogonek z główką, śpiewa się cienko z głowy i t.



Widzicie państwo, że z moim głosem i talentem niema prawie żadnej różnicy pomiędzy mną, a moim kolegą Mierzwińskim. Krytyka zachwyca się jego falcetem, że go tak umiejętnie i rzadko używa, ja ciągle śpiewam falcetem i bynajmniej dumny z tego nie jestem. Już to w ogóle moi koledzy tenorzy, Masini, Mierzwiński, Myszuga i t. d. nadzwyczaj dumni są, powywieszali swoje fotografie w oknach księgarni i rozmaitych magazynach. Ja tego nie robię, chociaż mógłbym prosić aby mnie powiesili, ale niechcę, jeszcze mnie dotychczas nikt nie widział wiszącego, chociaż mam do tego wszelkie kwalifikacje. Potrafię i bez tego zostać sławnym i zwrócić na siebie uwagę, ja potrzebuję tylko zaśpiewać a wszyscy jakby zelektryzowani moim głosem zaczęną się ruszać z miejsc, kto mnie raz słyszał: ten nigdy mnie nie zapomni i długie czasy przed oczami stać mu będzie. We Lwowie gdy występowałem w Trawiacie, to nadzwyczaj zostałem mile przyjęty, krytyka tamtejsza tak się zajęła moim głosem, że zbesztala dyrekcją teatru, jak mogła pozwolić ażebym ja śpiewał w takiej operze, której nie mogę zrozumieć. Przyszli życzliwi i powiedzieli żebym nie oddawał forszusu

na złość dyrekcji, która zrobiła mi taki zawód, dalej nie śpiewał i wyjechał zaraz. Dyrektor był w rozpaczy po moim wyjeździe, sprowadził drugiego tenora, dawał dwa razy Trawiatę, ale zawsze miał pustki, bo publiczność pamiętając mój występ, już więcej nie chciała iść na Trawiatę. Gdy ja śpiewam na jakim koncercie, to publiczność jest tak zadowolona, że z kilka lat nie może żadnego innego słuchać śpiewaka, mając mnie w pamięci i akompaniatorzy zawsze ze mnie bardzo zadowoleni, bo ja nie jestem jak inni tenorzy pedantem, oni mogą sobie grać co im się spodoba, a ja śpiewam swoje. Słuch u mnie jest tak wyrobiony, że żadna orkiestra przy najusilniejszym staraniu, nie jest w stanie zbić mnie z tego tonu, w którym ja zacząłem śpiewać — to też wszyscy kapelmajstrzy zdziwieni są moim słuchem, powiadają, że nawet głuchoniemi z urodzenia mają błone bębenkową czulszą i więcej się poddającą jak moja, ale to jest familijne — we mnie jest krew artystyczna, ojciec mój był woźnym w towarzystwie muzycznym a matka dla wszystkich artystów prała bieleznę a pomimo takiego urodzenia, talentu i głosu, nie mogę na utrzymanie zarobić. A temu

wszystkiemu winne są intrygi zakulisowe, które dławia każdy wybitny talent; ale obecnie żadne intrygi nieprzeszkodzą mi zaprezentować mój dźwięczno-metaliczny głos przed szanownym zgromadzeniem, i śmiało mogę powiedzieć razem z owym grekiem czy łacinnikiem: „Veni, dici, vici (spojrzał, zaśpiewał i zwyciężył). (*zaczyna śpiewać veni, vidi, vici, kurtyna się opuszcza*). Oto są zakulisowe intrygi.



Pan Mecenas w Rypinie

DEKLAMUJE NA KONCERCIE.

Monolog charakterystyczny Artura Zawadzkiego.

~~~~~  
(Wchodzi na estradę, kłania się z kajetem w ręku i zaczyna deklamować. Siwy, po staroświecku starannie ubrany typ jowialny).

„Czarny szal“ wiersz Ujejskiego. (czyta) I wy mnie pytacie z pijanym hałasem. Co... (niemoże przeczytać) Przepraszam panie, najmocniej przepraszam, ale tu tak ciemno, że nic nie widzę, a do tego pisał ktoś, niech go! akurat jak moja żona, no nie przeczytam, choć zabij, przepraszam, ale ja okulary włożę. (szuka po kieszeniach) A to skandal, zgubiłem gdzieś okulary, pewnie w cukierni panie dobrodzieju, zostawiłem, no i masz tu deklamację, a byłbym się popisał, przekłute okulary. No widzicie państwo okulary niby bagatela a w jak

złem położeniu mnie postawiły, i to już nie pierwszy raz, pamiętam, będzie temu pięć czy nawet sześć lat, mieszkała piękna szwaczka nad nami, blondynka i wystawcie sobie państwo z czarnemi oczkami, prawie dziecko jeszcze, otóż pewnego wieczoru słyszę kroki na wschodach. Panie! myślę sobie, popatrzę na nią ukradkiem, to przecie nic złego, po cichutku wychodzę na wschody, szarawo zaczynało być, żeby się z nią nie zetknąć, stanąłem sobie na boku, bez żadnych złych myśli, idzie mój aniołek, pełen powagi biorę ją wpół ostrożnie i po ojcowsku mówię: „jakżeto można tak prędko biegnąć aniele mój, daj mi swoją rączkę.“ Aż tu anioł mój, basowym głosem, krzyknie mi nad uchem, złapałeś się stary Don Juanie, będziesz mi moją narzeczoną bałamucił, dam ja tobie, zdrętwiąłem, chcę się wyrwać, czuję jak laska zagradza mi drogę, już miałem krzyknąć, ale sąsiedzi — żona — mróz mnie przeszedł, że nawet już nie czułem razów, których mi nie szczędził. Chciałem mu proces wytoczyć, ale się rozmyśliłem, bo nie lubię skandali. Niech go Bóg sekunduje, ale od tego czasu dałem sobie słowo nigdy na krok bez okularów nie wychodzić! No, ale ja tu bałamucę,

a przecież staję tu na to bym deklamował, bo to dla biednych, dalej! przepraszam: „I wy mnie pytacie z pijanym hałasem. Co znaczy ten rdzawy mój (*chrząka*) hm... przepraszam mam chrypkę, bo to deszcz, to śnieg, panie miły, (*patrzy w kajet*) żeby choć jako tako skończyć ową deklamację, nie chciałem, dali Bóg, nie chciałem, ale jak zaczęli prosić:—Ach, pan Mecenas tak ślicznie deklamuje to całe miasto i okolica się zjedzie, a to dla biednych! no i tem ostatniem mnie dobili — dla biednych, trudna rada, byłem ja ci panie słynnym na całą okolicę deklamatorem, jak huknąłem pamiętam raz: „Kobieto, puchu marny“ to trzy lampy zgasły i kawałek tynku z sufitu odleciał, ale dzisiaj i chrypka i głos stracił na świeżości, a co najgorsze, że tu ciemno, choć rznij, to nic nie zobaczysz, i pismo jakieś drobniutkie jak maczek jakoś wszystko teraz panie karłowacieje na świecie, dawnemi czasy jak napisali to można było nietylko przeczytać, ale namacać, a dziś wszystko maleńkie, filigranowe i aktorzy i autorzy i sztuki i koncerty i pieniądze, każdy się kurczy. Dawnemi czasy jak dało się koncert lub teatr amatorski, to się zjeżdżali z dziesięciu mil w koło, to też były dochody,

było po trzysta, czterysta a czasem i czterysta pięćdziesiąt złotych polskich, a dzisiaj jak jest sto a sto pięćdziesiąt rubli, to tyle krzyku, a nawet ręczę, że dzisiaj to i stu niema, a wydatki są — te, to tylko z czasem urosły — no wprawdzie z ostatniego amatorskiego koncertu to biedni wzięli coś — tak dostało im się, bo było sto dwadzieścia rubli, a za teatr się zapłaciło dwadzieścia, muzyka dziesięć, światło, służba, afisze dwadzieścia to pięćdziesiąt rs. sprawiło się podobno nowe kostjummy za 25 rs. bardzo ładne — ja ich tam nie widziałem — to już 75 rs. no kolacja nasza nie kosztowała więcej jak 40 rs. to im się zawsze okroiło do pięciu rs. przytem rejent dorzucił rubla, naczelnik kilkadziesiąt kopiejek a kary z preferansa uczyniły także z rubla, łepki od cygar, jednym słowem dopomoże im się *(pauza — patrzy się na publiczność i przypomina sobie, że ma deklamować)* Ach! „Czarny szal“ Kornela Ujejskiego... I wy mnie pyta... Nie, jeżeli chcecie państwo żebym skończył panie, to mi pożyczcie okularów proszę *(podają mu z orkiestry)* Dziękuję panu *(wklada i zaczyna, włożywszy spostrzegł, że są zapotniałe zdejmuje i wyciera)* Przepraszam, nie śmieście się państwo, ja

zaraz zacznę *(zaczyna)* „Czarny... *(wpatruje się, nie może czytać)* El teraz jeszcze gorzej, zupełnie nie widzę, już to do moich oczów trudno dobrać szkła. *(oddaje okulary)* Dziękuję, ale nie mogę korzystać, panie tego. Żeby tu trochę widniej było, tobym jako tako skończył. *(ogląda się i spostrzega człowieka ze świecą)* Człowieku, weźcie świecę i chodźcie tu. *(markuje, że człowiek wszedł)* O! stańcie tu, ja będę czytał, wy mnie poświecicie. O! tak! teraz proszę o spokój! „Czarny szal... *(do człowieka)* trochę wyżej trzymaj świecę. „Czarny szal“ *(ogląda się)* prosto trzymaj, bo mnie pokapiesz i będzie plama, ładnie bym wyglądał, przychodzę do domu, do żony poplamiony — a skąd to? a co to? ja teraz mam się na ostrożności, panie, nie dawno to była z tego cała chryja. Spotykam sędziego z Wołków, szkolny kolega, rzadko się widzujemy, ma się rozumieć, jak się radca miewa? pan sędzia bardzo dobrze wygląda! tak gaworząc zaszliśmy do handelku, do Jankła na róg, na śniadanko, pyta mi się sędzia, będzie kolega pić wódkę? ja tam nie pijam, panie — mogę tego nawet i rok, dwa nie pić, ale przed śniadaniem to zawsze muszę się napić — po wódeczce rybka, później czerwonego

wina, to nie zaszkodzi, trącając się, kropelka mi upadła na surdut, wytarłem, bo przeczulem, że coś złego z tego wypadnie, później zapomniałem o tem, przychodzę do domu panie — żona zadąsana, grubo w złym humorze, więc na przywitaniu całuję w rączkę, a ona odrazu do mnie, idź, idź pijaku napowrót do szynku! — Ależ Kloniu, ja nic, nie piłem, zobaczyła plamę, powąchała (a ma nos panie,) i zaraz: „stary kłamco“ to przecież wódzysko najzwyczajniejsze! Nie mogłem wytrzymać! Nieprawda! pani kłamiesz, bo wino! rozdała się babina, przy obiedzie nicęśmy nie mówili, kolacji razem nie jedliśmy i tak ciągle kwasy w domu, chociaż to już dwa tygodnie minęło, panie. (*markuje że, go człowiek trąca*) Czego kochaneczku tak świecisz, a czegoż ty świecisz? Ach prawda, to ja mam deklamować, zaraz panie, ach „Czarny szal“ wiersz Kornela Ujejskiego: I wy mnie pytacie z pijanym (*markuje, że ktoś z publiczności patrzy na zegarek*) a która też godzina (*ze zdziwieniem*) 10-ta? to bardzo późno, toż to ja panie muszę iść spać, ja zawsze o tej porze już śpię i państwu radzę zaraz iść spać, bo człowiek panie tego na drugi dzień jak zbity. Dobrej nocy. (*wychodzi*).

## Felczer w małym miasteczku.

Scena humorystyczna A. Zawadzkiego.



*Kurtyna idzie w górę, na scenie śpi, po chwili się budzi i markuje jak gdyby wszedł gość.)*

**M**oje uszanowanie panu dobrodziejowi, co pan rozkaże, strzygacz, golicz? golicz bardzo dobrze! prosze siednąć. *(podsuwa krzesło i idzie w głąb, przygotowuje mydło, wraca ziewając — mydli na pamięć)* Wąsy nie trzeba? dobrze! dobrze! dobrze! *(mydli dalej)* Pan dobrodziej pierwszy raz w naszym miasto, ojej! wszystkie ludzie znają nasze miasto bo chociaż wone jest małe. *(wecuje brzytwę na pasku z tyłu krzesła)* Niech pan dobrodziej mocno szedży, tak! ale jest bardzo sławne miasto, w to miasto mieszkał, prosze pana, i narodził się Kopernik, wun tu *(markuje jak gdyby gość mu nie zaprzeczał)* co? historia inaczej głosi? Co to historia,

historje robią ludzie, a ludzie robią plotki, wun tu na prawdę mieszkał, pan widział te wieże, widział pan? (*robi ruch jak gdyby psa nogą odpędzał*) (weg du hund), na środku ulicy duże dzure, to Kopernik jak był na te wieży, to jemu upadł z te wieży żelazny ołówek i te dzure zrobił ten ołówek, to przez te dzure już dwie konie i dwie ludzie i jedna żydówka złamała noge a pan burmistrz naumysznie nie każe załatać te dzure, bo to jest pamiątkowa rzecz (*nogą odpycha jakby psa*) weg du hund, pudżesz pies. W nasze miasto to różne ludźe przyjeżdżają. Kilka miesięcy to podobno tu buł jeden francuz co on ma fabryke perfum we Francji, tak żydowie gadali, to wun tu chodził, chodził i chodził, wachał, wachał, poszedł do cukierni napił sze kawy, powiedział „cochon“ i pojechał, to od te chwili panowie tutejsze na pamiątkę nazywają sobie „cochon,“ pudżesz ty pies (*odgania go nogą*) Nasze miasto, prosze pana, jest bardzo stare, wuno tylko tak źle wiglonda bo sze spalało. O! bardzo duży buł ogień, zapalało sze u naszego rabina, to wszystkie żydki podnieśli krzyk. Ja poleczałem po szykawke, to szopec buła zamknięto, to poleczałem po klucz do magistracze



a w magistracze powiedźeli, co jest klucz, ale u samego pana burmistrza, to ja poleczałem do pana burmistrza, a pana burmistrza nima — gdzie jest? poszedł do pana rejencze, ja lece do pana rejencze, u pana rejencze powiadają, co wszystkie do piru (pudżesz pies) co poszli do pana kszędza, poleciałem do pana kszędza. Pitam sze, jest pan burmistrz? powiadają, co pan prezydencze gra w karty, to ja powiadam, coby koniecznie dał klucz od szopy, bo sze pali, a pan prezydent powiada, co ma oszem pik i nie może teraz odejszcz, ino coby sam poszed i wziół klucz, który leży w szufladze na biurku. To poleczałem, ale służąca nie chciała dacz, powieda, coby przyniósł karteczkę od prezydencze, to poleciałem znowu, przyniosłem karteczkę, to ledwie mi dała klucz, to my wszystkie żydki wzięli te sikawke, zawieźli do ognia, a ja sam z te żelazne kielbasze szykałem wodę na ogień, tylko, że te szykawke było zepsute i wodę przez te kielbasze nie chciała leczyć, to żydki w butach wodę noszyli i lali na ogień, ale to nie pomogło, bo ogień spalił wszystko. Czy tu dużo mieszkańców? W nasze miasto nima dużo mieszkańców, jest trzy tyszące pięćset, ale bardzo pożą-

dne, trzy tyszące takich jak ja żydki, a reszta to jest same katoliki (pudziesz pies — weg du hund). Dla czego go odpędzam? bo szelma pies, on tak tu waruje, bo czasem przy goleniu, to sze oderznie, przez wypadek, kawałek brody, to un zara chyczy, to on głupi myszli, że co dzień bedzie takie szwento. (*czyści gościa miotelką, kłania się*) Niech pan dobrodziej zawsze na drugi raz do mnie. (*wychodzi z gościem*).







<http://rcin.org.pl>

# MUCHA

Najtańsze humorystyczne pismo polskie

większego rozmiaru,

POD REDAKCJĄ

Władysława Buchnera

(*NER. BUCH.*)

wychodzić będzie w bieżącym 1891 r. bez zmiany  
dotychczasowych warunków.

**Przedpłata wynosi:**

w Warszawie:

|                      |     |      |
|----------------------|-----|------|
| Rocznie . . . . .    | Rs. | 3 —  |
| Półrocznie . . . . . | „   | 1 50 |
| Kwartalnie . . . . . | „   | — 75 |

na Prowincji:

|                      |     |     |
|----------------------|-----|-----|
| Rocznie . . . . .    | Rs. | 4 — |
| Półrocznie . . . . . | „   | 2 — |
| Kwartalnie . . . . . | „   | 1 — |

ADRES REDAKCJI:

**Warszawa, ulica Elektoralna Nr. 8.**



F

5366